

Weto prezydenta blokujące obniżkę składek do NFZ dla firm powinno skłonić rząd do refleksji nad systemem opodatkowania pracy.

Zlecenie, fakturka czy etacik? Ale to ostatnie oznacza mniej na rękę – ktoś z nas tego nie słyszał, gdy szukał zatrudnienia? Ta propozycja idealnie obrazuje chorobę naszego systemu opodatkowywania pracy. Dobrze się zatem stało, że prezydent Andrzej Duda zawetował kolejną – niesprawiedliwą i niczego nie rozwiązującą – łatkę tego systemu.

Chciałbym, by jego sprzeciw skłonił do refleksji nad naprawą całości systemu, byśmy przestali w końcu uparcie go chaotycznie łątać.

Ile na rękę

Na początek rozprawmy się z trudnym pojęciem – jakim jest arbitraż – nieintuicyjnie związanym z opodatkowywaniem pracy.

W Polsce funkcjonują trzy główne porządki zarabiania i tym samym pobierania danin publicznych z tytułu pracy. Inaczej opodatkowane i oskładkowane są umowy cywilno-prawne (np. umowy zlecenia czy o dzieło), inaczej prowadzenie działalności gospodarczej (w tym tekście zajmuję się tylko działalnością pozarolniczą), a jeszcze inaczej zatrudnienie na etacie. I, co do zasady, nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Te formy aktywności różnią się między sobą i można dopuścić, by były opodatkowane i oskładkowane w odmienny sposób. Problem polega na tym, że u nas różnice w obciążeniach są: po pierwsze – ogromne, po drugie – często niesprawiedliwe (bogaci płacą mniej), a po trzecie – powodują kombinowanie i fikcyjne, na granicy prawa, poszukiwanie form zatrudnienia, które oznaczają niższe daniny. W efekcie traci budżet, a część osób staje się pasażerami na gapę we wspólnotowym pociągu.

Zacznijmy od różnic. Przyjmijmy, że pracodawca proponuje nam pensję w wysokości 10 tys. zł brutto. Jeśli zatrudnimy się na umowie o pracę, to firma, by zapłacić nam tę kwotę brutto, musi wydać na nas ponad 12 tys. zł. Płaci, ponad te 10 tys. zł brutto, składki do ZUS, głównie emerytalno-rentowe (brutto-brutto, oznaczające pełny koszt firmy z tytułu zatrudnienia pracownika), zaś my do ręki otrzymamy 7 tys. zł. W takiej sytuacji klin podatkowy – różnica między kosztem zatrudnienia jaki ponosi firma, a tym, co dostajemy my – wynosi 42 proc. Dostaniemy więc ok. 60 proc. wypracowanej przez nas pensji. Reszta pójdzie do ZUS, fiskusa i funduszy celowych.

Jeśli natomiast na tę samą kwotę 12 tys. zł założymy firmę i wystawimy fakturę, to dostaniemy, płacąc nawet pełne składki do ZUS (przez 2 lata od startu firmy możemy je płacić w niższym wymiarze), ok. 8,5-9 tys. Klin spada do ok. 30 proc., więc zostaje nam więcej w kieszeni. Gra warta świeczki, choć pamiętajmy, że w takim przypadku mamy zdecydowanie mniejszą ochronę i mniej praw pracowniczych. Jeszcze bardziej „opłacalne” jest zlecenie lub dzieło. W pierwszym przypadku – jeśli mamy innego pracodawcę, który płaci nam składki do ZUS od przynajmniej minimalnej pensji – z tych 12 tys. dostajemy do ręki już ponad 10 tys. zł., w drugim – nawet ok. 11 tys. netto. Tu klin jest już minimalny, bo wynosi ok. 10 proc. Różnica w opodatkowaniu pracy zatem jest ogromna – od ponad 40 proc. do ledwie 10 proc.

I to jest arbitraż. To wykorzystywanie różnic w obciążeniach płacy, by zoptymalizować koszty. Czytaj: uniknąć płacenia składek i podatków od pensji. Nie ma nic dziwnego w tym, że ludzie chcą maksymalizować dochody. Problem polega na tym, gdy taka optymalizacja rodzi fikcję i niesprawiedliwość, a w długiej perspektywie oznacza dopłaty z budżetu państwa do emerytur osób zamożniejszych, które teraz unikają opłacania składek do ZUS. A za system danin odpowiada państwo i powinno tworzyć go w taki sposób, by do tych negatywnych zjawisk nie dochodziło.

Gdzie jest niesprawiedliwość

Przyjrzyjmy się teraz fikcji, niesprawiedliwości i dopłatom.

Na początek fikcja – w Polsce, wynika z danych ZUS i GUS, na koniec 2024 r. mieliśmy nieco ponad 1,9 mln osób prowadzących działalność gospodarczą. To sporo – łącznie w tym czasie pracowało, według GUS, 17,2 mln osób. Ponad 80 proc. pracujących wykonuje pracę na etatach, ale 11 proc. z nich to „biznesmeni”. Jednak czy na pewno tak można ich zakwalifikować? Przyjrzyjmy się danym ZUS. Ponad 63 proc. osób prowadzących firmy (1,23 mln z 1,94 mln) opłaca do Zakładu składki wyłącznie za siebie. Można wyobrazić sobie, że są to szewcy, kosmetyczki czy zegarmistrzowie, ale duża część nich (nie ma tutaj dokładnych danych) to zapewne dobrze zarabiający informatycy, prawnicy, lekarze, budowlańcy, specjaliści czy eksperci, którzy optymalizują swoje obciążenia na rzecz państwa. Któż z nas nie zna osoby pracującej w ten sposób, na fakturę?

W skrajnych przypadkach, taka forma wykonywania pracy przynosi im ekstremalne zyski w porównaniu do tego, gdyby mieli etat. Bo jeśli ktoś wystawi fakturę np. na

30 tys. zł, to zapłaci państwu od tej kwoty (w zależności od formy opodatkowania) ok. 5 tys. zł składek i podatków. Wtedy klin wynosi ledwie ok. 15 proc. Gdyby taka osoba pracowała na etacie, zapłaciłaby w formie danin ok. 40 proc. To kolosalna różnica i stąd tak duża „moda” na samozatrudnienie, zwłaszcza wśród dobrze zarabiających specjalistów. Taki system jest niesprawiedliwy. Bo osoba wystawiająca fakturę na 30 tys. zł zapłaci ZUS i NFZ nawet mniej niż taka, która zarabia średnią pensję w okolicy 8 tys. brutto. I propozycja obecnego rządu, by obniżyć składki zdrowotne gremialnie prowadzącym działalność gospodarczą tę niesprawiedliwość by pogłębiała. Trudno jest zrozumieć logikę systemu, w którym składka do NFZ – a taka była propozycja gabinetu – dla prowadzących firmy była liczona od 75 proc. minimalnej płacy, a dla „etatowców” zarabiających nawet płacowe minimum, była liczona od 100 proc. tej wartości. Rozumiem zmniejszanie obciążeń dla najmniejszych biznesów, ale dlaczego miałyby to dotyczyć osób wystawiających kilkudziesięciotysięczne faktury?

I wreszcie dopłaty do emerytur. W naszym systemie działa zasada, że jeśli ktoś opłaca odpowiednio długo składki do ZUS (20 lat kobieta i 25 lat mężczyzna), nabywa prawo do ustawowo regulowanej minimalnej emerytury, nawet jeśli jego składki nie wystarczają mu na zapewnienie tej kwoty świadczenia (dziś wynosi ono blisko 2 tys. zł miesięcznie). Innymi słowy: wtedy różnicę dopłaca budżet państwa. Czyli może się okazać, że lekarz wystawiający faktury na 50-70 tys. miesięcznie, który płaci teraz niskie składki do ZUS, otrzyma dopłatę do emerytury od osoby zarabiającej minimalną płacę.

Czołgi nie spadają z nieba

Wszyscy zgadzamy się jako wspólnota, że dobrze, iż wydajemy blisko 5 proc. PKB na zbrojenia i że rosną wydatki na leczenie. Dumni jesteśmy z postępu w budowie dróg ekspresowych i autostrad. Protestowaliśmy, gdy obecny rząd nie chciał zbudować CPK, lotniska i sieci kolei, łączących realnie całą Polskę. Ale każdy z nas niech zada sobie pytanie – skąd pochodzą na to pieniądze?

Rząd nie ma żadnych środków, dzieli jedynie to, co my wpłacimy do wspólnej kasy w formie danin. I trzeba mieć pretensje do władzy, gdy wydaje pieniądze bez głowy, marnotrawi albo wydatki nie realizują wspólnotowych celów. Ale warto byśmy sami uderzyli się w pierś i wspomnieli nasze oczekiwania i pretensje wobec rządzących, gdy kolejny raz zapłacimy fachowcowi „bez fakturki”, założymy firmę, by unikać ZUS czy składek do NFZ albo zapłacimy przelewem na telefon, zamiast kartą, w restauracji. Nie twierdzę, że ludzie nie zachowują się racjonalnie, wykorzystując luki

i przywileje. Ale rolą państwa jest to, by układać rzeczywistość w sprawiedliwy sposób. Nie zachęcając do kombinowania.

Podziwiam osoby biorące sprawy we własne ręce, zakładające firmy, mocujące się z rynkowymi wyzwaniami, zatrudniające ludzi. Jestem zwolennikiem szczególnego ich traktowania. Problem polega na tym, że spora część tych „biznesmenów” jest nimi jedynie z nazwy, m. in. dlatego uważam, że system opodatkowania i oskładkowania pracy, należy przemyśleć od nowa, kierując się sześcioma głównymi założeniami:

1. Obciążenia podatkowo-składkowe nakładane na pracę winny być w miarę możliwości niskie. Lepiej bardziej opodatkowywać konsumpcję niż pracę;
2. Obciążenia nie powinny być tak różne w zależności od formy wykonywania pracy. Nie ma powodu, by klin podatkowy wahał się od 10 do ponad 40 proc. Powinniśmy wrócić do idei jednolitej daniny, maksymalnie prostego, dość zbliżonego jeśli chodzi o wysokość, opodatkowania wszystkich form dochodu z pracy;
3. Obciążenia nakładane na pracujących powinny być progresywne, a nie regresywne, jak dzieje się to często obecnie. Zachowując nieprzesadzone opodatkowanie pracy, lepiej zarabiający powinni płacić więcej, a nie odwrotnie (choć nie winniśmy myśleć o nadzwyczajnej progresji);
4. Należy zachować w systemie podatkowym preferencje dla rodzin wychowujących dzieci. Kłania się nasza sytuacja demograficzna;
5. Trzeba w systemie uwzględnić specyfikę prowadzenia działalności – praca na własne ryzyko, inwestycja w firmę z własnych środków, pełna odpowiedzialność za firmę, ryzyko bankructwa powinny być nagradzane preferencjami. Ale system nie powinien zachęcać do fikcyjnej „pracy na fakturę”;
6. System powinien być maksymalnie prosty.

Zwykło się mówić, że najtrwalsze są prowizorki. Propozycja rządu, który zaproponował zmiany w składce zdrowotnej była nawet gorsza niż prowizorka. Pozbawiała NFZ ok. 5 mld zł na leczenie, nie załatwiała żadnego problemu społecznego, była niesprawiedliwa i jeszcze bardziej komplikowała system. Prezydent dał rządowi szansę na powrót do dyskusji wokół obciążeń pracy. Czas na wypracowanie poważniejszej i bardziej przemyślanej koncepcji.

Tekst pierwotnie ukazał się w Magazynie DGP:

<https://www.gazetaprawna.pl/magazyn-na-weekend/artykuly/9806586,latanie-placowego-durszlaka-system-nie-powinien-zachecac-do-fikcyjn.html>